

ANGELIKA KUŹNIAK

# MARLENE

MARGINESY

Copyright © by Angelika Kuźniak

Copyright © by Wydawnictwo Marginesy, Warszawa 2023

Nie istnieje pełne przedstawienie rzeczywistości.  
Tylko wybór.

PÄR LAGERKVIST

## PROLOG

Trzy szmaty do podłóg Marleny Dietrich otrzymały numer katalogowy 70039. Do Berlina trafiły w czwartek, 21 października 1993 roku o ósmej rano. Prawie osiemnaście miesięcy po jej śmierci. Ze względów bezpieczeństwa ani dnia, ani miejsca przybycia nie podano do publicznej wiadomości.

W drodze ginie klucz do kłódki przy kontenerze, w którym są przewożone.

Po dotarciu na dziedziniec dawnej fabryki podzespołów elektronicznych w dzielnicy Spandau (jedno piętro budynku zaadaptowano na tymczasowy magazyn) kłódkę odpiłowano.

W ciągu kolejnych dni do Berlina dotrą jeszcze cztery kontenery.

I tak swoje numery otrzymają: wstążki do kwiatów, ręczniki, ścierki do naczyń, flakony po perfumach, chusteczki, wypalone zapalniczki, łyżki, papier do pakowania prezentów, rolki papieru toaletowego, fiołki po lekach, plastry na odciski, skrawki futer – i te przenicowane przez mole i rozsypujące się w dłoniach, i te twarde, łamiące się przy silniejszym nacisku (leżały w skrzyniach ponad pięćdziesiąt lat). Setki filtrów do światła. Tabliczki z brązu z jej imieniem i nazwiskiem. Wisiały zawsze na drzwiach garderoby podczas tournée.

Peruki.

Między arkuszami jedwabnego papieru zachowały się pióra egzotycznych ptaków, szmuglowane latami przez Dietrich

z jednego kraju do drugiego. Wykorzystywanie ich, nawet do kostiumów filmowych, było zabronione.

W jednym z kartonów gipsowy odlew jej dłoni.

Oprócz tego sto pięćdziesiąt par rękawiczek, czterysta kapeluszy, czterysta trzydzieści par butów, osiemdziesiąt kufrów, około siedemdziesięciu kostiumów filmowych i estradowych, szesnaście i pół tysiąca zdjęć, czasopisma. Dokumenty, notesy, stare koperty, listy. Razem trzysta tysięcy zapisanych kartek. Książki. Między nimi *Zbrodnia i kara* z dedykacją Alberta Einsteina, wiersze Rilkego, dokumentacja dotycząca Treblinki, sześć tomów opowiadań Konstantego Paustowskiego i słownik angielsko-polski, na marginesie którego przy słowie „dziękuję” Dietrich dopisze odręcznie „tschekuye”.

Szafki, kanapy, fotele, stare krzesła. Komody, stoły.

Razem dwadzieścia pięć ton. Z pięciu magazynów: w Los Angeles, Nowym Jorku, Londynie, Paryżu i Genewie.

Kraj związkowy Berlin kupił wszystko na aukcji w Sotheby's za osiem milionów marek niemieckich (pięć milionów dolarów). Nie była to najwyższa oferta, ale Berlin przedstawił projekt zarchiwizowania całej kolekcji.

Każdy przedmiot będzie sfotografowany i opisany. Jeśli to dokumenty, ważne, żeby zaznaczyć: czego dotyczą, z którego są roku, kto je pisał.

Przy kostiumach należy podać między innymi: projektanta, tytuł filmu, z jakiego dana rzecz pochodzi, kolor i materiał.

Pierwsze prace zakończą się po pięciu latach. Jednak każdego roku rodzina Marleny Dietrich przekazuje do archiwum kolejne kilkadziesiąt kartonów z przedmiotami, które wcześniej były jej własnością.

## CZĘŚĆ 1

### NOTES

Oddział archiwum (Kolekcja Marleny Dietrich) przy Fundacji Kinematografii Niemieckiej, Potsdamer Platz, Berlin.

Pokój jest mały, jasno oświetlony. W środku termohigrograf bezgłośnie kreśli poziom wilgotności (nie może przekraczać pięćdziesięciu procent) i temperaturę (osiemnaście stopni Celsjusza). Każde odchylenie od normy mogłoby zniszczyć zdjęcia, które leżą w kartonach na półkach. Jedno zdjęcie – jeden karton. Niektóre z nich są warte kilka tysięcy euro.

Przy ścianach regały z mnóstwem czarnych szuflad. Rozmawiamy cicho. Archiwum podobnie jak biblioteka zmusza do mówienia półgłosem, do skupienia.

Silke Ronneburg, która pracuje w archiwum od prawie trzydziestu lat, otwiera jedną z szuflad. Pokazuje mi pudełko z napisem „Europa”. W środku kilka notesów. Wśród nich ten, który interesuje mnie najbardziej.

Jest czerwony, niewielki, siedem i pół na jedenaście i pół centymetra. Widać, że był często używany. Okładka w niektórych miejscach naddarta, porysowana. Na środku wycięty prostokąt. Niechlujnie, jakby żyłką lub tępymi nożyczkami. Widzę litery rozmazane od ślinionego palca szukającego bezustannie czyjegoś nazwiska. Kolejne adresy przyklejane pośpiesznie na kartkach, często taśmą klejącą. Ktoś zastąpił kogoś wykreślonego grubą kreską.

Address	Name
MARTA ROMER BARBARA KOTARSKA } PAGART WARSZAWA SENATORSKA 8/15	POLSKIE POLAND MARGARET 312480
MARGARET SEMIL WARSZAW, NOWOTOKI 25 nr 363	
ELISABETH SIENIAWSKA 2862 UL POLNA 50A 21 TEL. 71 WARSZAWA	
CYBULSKI Z. 41 28 91 UL CZERNIAKOWSKA 95/137	

Polskie kontakty w notesie Marleny Dietrich

W notesie cały wszechświat. Erich Maria Remarque, Jean Cocteau, Ernest Hemingway. Kochankowie, przyjaciele, wielbiciel. Miasta i kraje. Próbuję dopasować słowa do znajomych historii. Nie zawsze wiem, co było przed, a co było po.

Szukam Polski. Y – Izrael, U – Mexico City. Nie ma reguły. Jakby notes z biegiem lat zapełniał się, a Dietrich kolejne państwa, osoby wpisywała w wolnym miejscu. V – Rio, K – Amsterdam. Jest i Polska. Na ostatniej stronie pod napisem „Pologne, Poland”: Marta Romer, Barbara Kotarska, Margaret Semil, Elisabeth Sieniawska, Cybulski Z. Więcej polskich nazwisk nie ma.

#### TELEFON

Jest połowa stycznia 1964 roku. Ronald Trisch, pracownik agencji artystycznej w Berlinie Wschodnim, krzyczy do słuchawki. Połączenie z Paryżem. Po drugiej stronie Eddie Marouani, paryski impresario Marleny Dietrich.

Marouani mówi krótko:

– Madame Dietrich w drodze do Polski będzie miała międzylądowanie na lotnisku Schönefeld w Berlinie Wschodnim. Tankowanie samolotu potrwa godzinę. Jeśli jesteście zainteresowani jej koncertem we Friedrichstadtpalast, spróbujcie ją namówić. Ja nie umiem.

Dzwonię do Ronalda Trischa. Mieszka w Berlinie.

– Sprawa nie była prosta – wspomina. – O to, żeby wystąpiła u nas, staraliśmy się od kilkunastu miesięcy, ale Marlena mówiła, że nigdy nie zapomni tego, co stało się w Niemczech w 1960 roku: przed Titania-Palast w Berlinie, w Monachium czy w Düsseldorfie. Bardzo chcieliśmy ją przekonać, że Berlin Wschodni jest jej wdzięczny za to, że razem z innymi żołnierzami wyzwoliła nas od nazistów. Że nie wszyscy mają jej za



złe, że podczas wojny występowała na froncie dla tych, którzy walczyli z Niemcami.

Tournée w 1960 roku zaplanowano dokładnie. W ciągu trzech tygodni Dietrich miała dać koncerty w dziesięciu niemieckich miastach. Ustalono, że w samym Berlinie spędzi pięć dni.

Pierwsze reakcje na wieść o jej planowanych występach pojawiają się w prasie się miesiąc przed.

Redakcja „Aachener Zeitung” publikuje list otwarty z Mayen w imieniu „wszystkich niemieckich sióstr i braci”:

„Ta zuchwała dziwka śmie przyjeżdżać tutaj, by walczyć o swój honor. Marlena Dietrich ma na swym sumieniu tysiące grobów niemieckich żołnierzy. Nie tylko walczyła przeciwko nazystom, ale również przeciwko narodowi niemieckiemu. A teraz jeszcze zjednała sobie poparcie Willy’ego Brandta, byłego wojownika oporu. Ona jest aspołecznym pasożytem i zasługuje na to, byśmy wymierzili jej odpowiednią karę. Ty podła, nikczemna zdrajczyni, nie wstydzisz się stawiać kroku na niemieckiej ziemi? Powinno się ciebie zlinczować jako ohydną zbrodniarkę wojenną”.

„Stany Zjednoczone i Niemcy już od dawna są w przyjacielskich stosunkach, ale Marlena Dietrich nadal prowadzi prywatną wojnę przeciwko swej ojczyźnie. A jednak najwyraźniej nie gardzi niemieckimi markami tak bardzo jak swoim krajem” – dodaje „Kölnische Rundschau” z 3 marca 1960 roku.

„Badische Tagblatt”, Baden-Baden, 14 marca 1960 roku: „Marlena opowiedziała się po stronie uczestników oporu i wrogów wszystkiego, co niemieckie. Nie uczyniła nic, kiedy Niemcy zaczęły dźwigać się z ruin i ubóstwa i odzyskiwać szacunek świata. Lepiej byłoby dla nas, gdyby została tam, gdzie jest teraz”.

„Bild am Sonntag”, Hamburg, 3 kwietnia 1960 roku: „Włożyła amerykański mundur i zabawiła wojskowe oddziały! Jeśli uczynek ten można było zrozumieć w czasach hitlerowskiego reżimu, trudno pojąć, dlaczego nie zmieniła swego nastawienia po wojnie”.

Dietrich pisze do Normana Granza opiekującego się jej europejskim tournée: „Musimy się zdzwonić. Niemiecka prasa jest coraz bardziej obrzydliwa. Wszystkie artykuły brzmią jak przemówienie Göringa wygłaszane przeciwko mnie”.

W rozmowie z dziennikarzem „Die Zeit” przyzna: „Nie rozumiem tego. Przed wojną atakował mnie Göring, ponieważ przyjąłem obywatelstwo amerykańskie. Potem niemieckie gazety za to, że nie wróciłam do Niemiec. A teraz te gazety atakują mnie, bo tam jadę”.

Przed przyjazdem do Niemiec spotyka się w paryskim hotelu Raphael z Curtem Riensem, dziennikarzem i pisarzem. „Miała piękną, spokojną, trochę chłodną twarz. To była twarz kobiety, która wie, jakie jest życie. Twarz kobiety, która sama wiele przeżyła: i szczęście, i rozczarowania, ale jest w stanie przetrwać więcej”.

Riess pyta:

– Co pani czuje przed podróżą do Niemiec? Jaki jest pani stosunek do Niemców?

– Niemcy! Jak ja nienawidzę tych ogólnych haseł. Przecież nie istnieje coś takiego jak Niemcy, Amerykanie czy Francuzi! Wszędzie są dobrzy i źli ludzie. Nie róbmy tego idiotycznego błędu i nie traktujmy wszystkich jednakowo – odpowiada Dietrich.

Innemu dziennikarzowi powie: „Czuję się, jakbym jechała na własny proces norymberski”.



Dietrich w Berlinie.  
W tle ruiny Kaiser-Wilhelm-Gedächtniskirche.  
Tu w 1923 roku Marlena wzięła ślub

30 kwietnia 1960 roku o godzinie dwudziestej drugiej trzydzieści ląduje w Berlinie. Na lotnisku witają ją między innymi aktorka Hildegard Knef i burmistrz Berlina Willy Brandt.

Wsiada do taksówki. Kierowcą jest Walter Ratayszak:

– Drogę zajechał nam wóz konny. Nie wytrzymałem i zacząłem przeklinać „po berlińsku”. Kiedy przestałem, Dietrich zapytała mnie: „Na, Sie sind ooch so’n richtija Berliner, wa?”. [No, jest pan prawdziwym Berlińczykiem, prawda?] Mówiła w dialekcie tak, jakby nigdy nie opuściła Berlina – opowiada.

Mieszka w hotelu Hilton.

Przychodzą listy i wycinki prasowe. Marlena każe je sortować. Zajmuje się tym Karin Wedeke, romanistka, pracownica Związkowej Agencji Prasowej w Bonn. Otwiera koperty, czyta. Uważnie.

Kobieta z Düsseldorfu pyta: „Kto okazał więcej silnej woli: Marlena, która nie dała się skusić obietnicom Hitlera i bezkompromisowo walczyła przeciwko zbrodniarzom nazistowskim, czy my, którzy padaliśmy na kolana przed tymi ohydnyimi przywódcami? Czym się różni hasło: «precz z Żydami» od «precz z Marleną?»”.

I znów ktoś z Düsseldorfu: „Artyści tacy jak Marlena Dietrich czy Tomasz Mann wiedzieli wtedy, że ich ojczyzna wpadła w ręce przestępców. Czy tylko dlatego, że są Niemcami, mieli milczeć? Czy aby Marlena nie była lepszą Niemką, ponieważ pokazała, że istnieją także inne Niemcy?”.

To „poczta pozytywna”.

Na kolejnej kopercie adres berliński: „Szanowna Pani, skąd właściwie bierze Pani odwagę, żeby wystąpić w Berlinie?” – pyta dyrektor firmy produkującej sprzęty elektryczne. „Po tym, jak Pani zachowanie podczas wojny było tak nieprzyjazne wobec

Niemiec. Życzymy Pani, żeby berlińska publiczność zgotowała Pani odpowiednie przyjęcie”.

Decyzja: „poczta negatywna”. Tych listów Dietrich nie czyta.

Dzwoni Charles de Gaulle. Wzywa Marlenę do natychmiastowego opuszczenia Niemiec „w związku z wrogością publiczną”.

Ale Dietrich 2 maja 1960 roku schodzi na konferencję prasową. Do czarnej sukienki przypina czerwoną wstążkę Legii Honorowej. („W Berlinie najchętniej nosiłabym dwie”. Order Legii Honorowej wręczył jej francuski ambasador w Waszyngtonie w 1951 roku za „odwagę i działalność podczas drugiej wojny światowej”).

„Kurier”, 3 maja 1960 roku: „Światowej sławy nogi w jasnych pończochach i brokatowych pantoflach na wysokich obcasach wchodzą do Sali konferencyjnej. Gwiazda zajmuje miejsce pośrodku. Zaczyna się rozmowa; zabawa w pytania i odpowiedzi. Filmowy uśmiech sprawia, że maska wreszcie opada. Pod olbrzymim brązowym kapeluszem na jasnych lokach ukazują się te fascynujące, zimne i zarazem gorejące oczy. Ubrana jest w czarną paryską sukienkę od Balenciagi z małym dekoltem na plecach. [...] Nie tak znowu nerwowo, ale często sięga do złotego etui po papierosa dłonią obciążoną rękawiczką z jasnej skóry. Rozpoczęła się wymiana zdań. Sentymentalnym, czasem niedyskretnym i płaskim dygresjom kładzie kres mądra, dowcipna, bardzo ujmująca dama, postępująca zgodnie z cytowanym przez siebie mottem: Bądź energiczny!”.

„Odpowiedzi, które dawała, były żywe, chłodne i orzeźwiająco inteligentne. Jest tu po to, aby pracować. Basta. Nie zamierza roztkliwiać się nad dawno przebrzmiałą przeszłością”.

3 maja 1960 roku odbywa się pierwszy koncert w Titania-Palast w Berlinie.

Tysiąc dziewięćset dwadzieścia miejsc, czterysta z nich wolnych. Aby wypełnić salę, część biletów (kosztowały od dziecięciu do stu marek) rozdano za darmo. (Na koncertach Marii Callas w Berlinie też były wolne miejsca).

Przed budynkiem kilkadziesiąt osób z transparentami. Na nich napisy po angielsku i niemiecku: „Marlene, go home!” [Marlena, do domu!], „Marlene, hau ab” [Marlena, wynoś się]. Dietrich boi się, że obrzucą ją jajkami. „Zostawiają takie obrzydliwe plamy na ubraniach. Mam płaszcz z puchu łabędziego i kiedy lądują na nim jajka, nie wiem, co mam robić. Odczyszczenie tego jest prawie niemożliwe”.

Hamburski „Die Welt” ostrzega rodaków: „Jeśli zostanie przyjęta zgniętymi pomidorami i jajami, to stracimy reputację w oczach Ameryki i znów udowodnimy, że niczego nie nauczyliśmy się na swoich błędach”.

Koncert zaczyna się o dwudziestej. Od 1955 roku jej show składa się z dwóch części. Marlena występuje w sukni zaprojektowanej przez Jeana Louisa. „Mistrzostwo iluzji. Musiał ją wynaleźć Houdini” – pisze Milton Shulman w londyńskim „Evening Standard”.

Dietrich szepcze do mikrofonu: „Teraz śpiewam dla męskiej publiczności”. Po kilku piosenkach znika za kulisami. Po czterdziestu pięciu sekundach (na koncertach w Paryżu po trzydziestu dwóch) znów zjawia się na scenie, tym razem w czarnym fraku, w którego butonierce tkwi biały goździk.

– Była za to specjalna dopłata w kontrakcie. Gdy schodziłam z jednej strony za kulisy, punktowy reflektor oczekiwał mnie przy kulisie, jakbym za chwilę miała powrócić. Orkiestra grała tusz, reflektor nagle przierzucano na przeciwną kulisę i wychodziłam z drugiej strony, ubrana zupełnie inaczej. Na widowni był niezmiennie szal! Schodząc, stawałam na wózku,

który przewoził mnie na drugą stronę estrady, podczas gdy garderobiane błyskawicznie mnie przebierały; tak to wyglądało od kulis – niby proste, ale trudne i męczące.

Dietrich stoi bez ruchu z papierosem w dłoni.

Lili Darvas, która w 1928 roku występowała z nią w *Mezaliansie* Bernarda Shawa w berlińskim Komödie Theater, wspomina, że już wtedy:

– Marlena po prostu siedziała na scenie, bardzo wolno i zmysłowo paliła papierosa, a ludzie zapominali, że są tam jeszcze jakieś inne aktorki. Jej pozycja była tak naturalna, a w jej głosie było tyle melodyjności, swymi gestami dysponowała tak oszczędnie, że fascynowała widzów tak jak obrazy Modiglianiego. Posiadała cechę nieodzowną wielkim gwiazdom: wspaniale potrafiła nie robić nic.

W 1952 roku Ernest Hemingway w „Life Magazin” (w artykule *Hommage on Marlene*) pisze: „Nawet gdyby nie miała nic oprócz swego głosu, jest on tym, czym mogłaby łamać serca”. Ktoś inny dodał: „Takim głosem Hamlet wygłosiłby swój monolog, gdyby wiedział, jak skończy”.

Śpiewa dwadzieścia utworów w aranżacji Burta Bacharacha. Występują razem od 1957 roku. To on wprowadza entrée grane przez orkiestrę i ogranicza skrzypce.

W *ABC meines Lebens* Dietrich nazywa skrzypce „straconym marzeniem młodości”.

Pierwszy instrument dostaje od matki w 1917 roku. „Jeśli nie gwiazdą filmową, zostanę artystką” – ogłasza. W tej samej książce przyznaje, że nie lubi Bacha. To ćwiczenie jego sonat, według niej, spowodowało w 1922 roku zapalenie ścięgna. „Nigdy już nie zostanę wspaniałą skrzypaczką, sławną na cały świat” – notuje wtedy.



TRYING TO KEEP  
THEM SMILING

1945 rok, po jednym z występów dla żołnierzy.  
Odręczny komentarz Marlena dopisała w latach osiemdziesiątych



W 1960 roku w Berlinie koncert zaczyna od *Ich bin vom Kopf bis Fuss z Blåkitnegu anioła*, potem *Ich bin die fesche Lola*. Jest i *Lili Marleen*, z muzyką Norberta Schultzego, do słów mało znanego poety Hansa Leipa.

„Ta melancholijna piosenka o miłości żołnierskiej to fenomen bezprecedensowy w dziejach gatunku. Bo wszystko było przeciwko niej: to, że nosiła piętno nazistowskie, bo powstała w Niemczech, jej autorami byli Niemcy, pierwszą, najsławniejszą wykonawczynią była Niemka\*, nadawało ją, stopniowo czyniąc popularną, wojskowe radio niemieckie w Belgradzie, przekazujące programy na obszar Afryki Północnej, przeznaczone dla Afrika Korps, a było to w czasie okrutnej wojny i zbrodniczych poczynań nazistów wobec okupowanych nacji. [...] Radio Belgrad po raz pierwszy nadało *Lili Marleen* 19 sierpnia 1941 roku, traktując następnie tę piosenkę jako swój znak rozpoznawczy, powtarzany codziennie do trzydziestu razy. I z miejsca sukces. Żołnierze Afrika Korps słuchali jej w czołgach, w samochodach, kasynach, w marszu i na postoju. Do rozgłośni zaczęły napływać setki, a potem tysiące listów z podziękowaniami i prośbami o więcej. Podobny oddźwięk był i po drugiej stronie frontu, wśród Brytyjczyków z 8. Armii walczącej z Rommlem. Podobne przyjęcie odnotowano wśród Francuzów, Włochów, no i Niemców na innych frontach, bo piosenka wraz z przemieszczającymi się oddziałami Wehrmachtu wędrowała po całej Europie”.

Po klęsce pod Stalingradem Goebbels uznaje ostatnią zwrotkę\*\* za niepasującą do hasła „ostateczne zwycię-

\* Lale Andersen (właściwie: Liselotte Bunnenberg).

\*\* Lecz gdy w otchłań runę, / mocno wierzę, że / Jeden pocałunek / twój ocali mnie, / znów będziesz ze mną w wieczór ten / i noc po świt, / Lili Marleen, / Po świt, Lili Marleen (przeł. Wojciech Młynarski).



Występ w ramach United Service Organizations, Berlin, 1945 rok.  
Dietrich czytała w myślach. Podczas seansu telepatycznego wybierała  
żołnierza i zapraszała go na scenę. Po chwili mówiła: kiedy żołnierz  
na mnie patrzy, nietrudno zgadnąć, o czym myśli

stwo” i zabrania publicznego wykonywania i emitowania piosenki.

Dietrich włączyła *Lili Marleen* do swojego repertuaru jeszcze podczas koncertów na froncie w 1943 roku. Któregoś dnia śpiewa ją w angielskim radiu. Nagle przerywa i wykrzykuje po niemiecku: „Chłopcy! Nie dawajcie się! Przecież wojna to gówno! Hitler to idiota!”.

Wierzyła, że audycja dociera też do niemieckich żołnierzy.

Po wojnie zapowiada ją zawsze podobnie: „A teraz piosenka, która jest bliska mojemu sercu. Śpiewałam ją podczas wojny. Śpiewałam ją przez trzy długie lata: w Afryce, na Sycylii, na Alasce, Grenlandii i Islandii, w Anglii, w Belgii, Holandii, Niemczech i Czechosłowacji”.

W Titania-Palast śpiewa odważnie, z dumą, po niemiecku. Kiedy koncert się kończy, publiczność milczy. Gdzieś słychać pojedyncze oklaski. I nagle wstaje Willy Brandt. Za nim cała sala. Owacja na stojąco.

5 maja 1960 roku „Süddeutsche Zeitung” drukuje recenzję: „Poszło dobrze. Marlena, której powrotowi towarzyszyło tyle głupich urazów i fałszywej «polityki», może być zadowolona. W ogromnej sali Titania-Palast nie rozległ się żaden fałszywy ton, żaden głos niezadowolonia. Jej stare piosenki przyjęto okrzykami radości, wzruszeniem, burzliwymi oklaskami i serdeczną wrzawą powitania [...]. Śpiewa – ochryple, wzniośle albo szybko, kołysząc się i akcentując pointy. Robi to doskonale. Drogo sprzedaje każdy numer, nie szczędząc kropeł zabawnej wulgarności i czystego sentymentalizmu. Towarzyszą jej okrzyki radości, gdy wkłada frak i z grupą dziewcząt wymachuje swymi słynnymi nogami, jakby wcale nie była babcią, którą już przecież jest. A kiedy z berlińską melancholią śpiewa *Ruiny Berlina*, nikt nie może jej się oprzeć. Robi z ludźmi, co chce”.

Dzień wcześniej Dietrich spotyka się z Willym Brandtem w ratuszu (wówczas siedzibie Senatu Berlina Zachodniego) w dzielnicy Schöneberg. Brandt mówi: „Być może tu i ówdzie pojawia się dysonans. Ale to powoduje, że wyraźniejsze stają się przyjaźń i podziw, którymi panią darzymy”. Dietrich wpisuje się do książki gości. Pod gotowym, wykaligrafowanym napisem „Wizyta Marleny Dietrich, 4 maja 1960” złoży swój podpis. Żadnych dodatkowych słów.

Przed budynkiem podchodzi do niej starsza kobieta, mieszkanka Berlina. Chwyta Marlenę za dłonie i pyta:

– To co, może się pogodzimy?

Na drugi koncert przychodzi tylko pięćset osób. Na ostatni bilety w większości znów rozdano za darmo. Dietrich opuszcza Berlin.



Mieszkanka Berlina pyta Marlenę: „To, co może się pogodzimy?”

W Monachium bilety na wszystkie koncerty sprzedane. Ale na widowni Deutsches Theater ktoś podłożył „cuchnącą bombę”. Mimo to Dietrich staje na scenie. Wśród widzów jest Friedrich Hollaender, autor wielu jej piosenek, Żyd, który w 1933 roku musiał opuścić Niemcy. Marlena krzyczy: „Dziękuję ci, Friedl”.

Triumf. Ponad sześćdziesiąt razy podnosi się kurtyna. Monachijska gazeta dziwi się: „Kto mógłby przypuszczać, że w rzeczywistości Dietrich śpiewa lepiej niż na nagranych płytach?”.

W Wiesbaden Marlena podchodzi zbyt blisko krawędzi sceny. Spada z niej na pierwszy rząd krzeseł i łamie obojczyk. Wiele lat później jej córka Maria Riva powie: „Po cichu przypuszczałam, że to stało się nie tylko z powodu zaciemnionego skraju sceny, lecz również przez szampana, którego matka wypijała coraz więcej”.

Marlena przywiązuje rękę paskiem od płaszcza przeciwdeszczowego do ciała i kontynuuje występ. „Zawsze wożę ze sobą skrawki materialu na wypadek konieczności jakiejś reperacji. Wyszło całkiem nieźle. Jediną większą trudnością było to, że zamiast dwoma, mogłam się posługiwać tylko jedną ręką. Inaczej śpiewa się, mając obie ręce, a inaczej – jedną...”

Organizatorzy chcą przerwać tournée. Dietrich się nie zgadza.

– Przecież przeżyłam dwie wojny światowe – mówi. – Nie mogę odwołać koncertu z powodu jakiegoś złamania.

Pisze do Normana Granza: „Jestem rozczarowana, że Cię tutaj nie ma, szczególnie dlatego że nie ma ramienia, na którym mogłabym oprzeć moje złamane”. Podpis: „Twój jednoręki bandyta”.

W Düsseldorfie przed hotelem, w którym mieszka, czeka dwa tysiące fanów. Marlena przechodzi przez foyer. W jej

kierunku przeciska się jakaś dziewczyna. Staje przed Dietrich i pluje jej w twarz. Ma nie więcej niż siedemnaście lat. Nie może pamiętać wojny. Krzyczy: „Zdrajczyń!”.

Jean Améry, pisarz: „Głównym nieporozumieniem związanym z tym tournée był fakt, że Marlena myślała, że powróci do domu, triumfując. Nie wzięła jednak pod uwagę niespodziewanej pewności siebie niemieckiego społeczeństwa, a zwłaszcza mieszkańców Berlina Zachodniego. Wraz z polepszeniem się warunków ekonomicznych Niemcy odzyskali czyste sumienie. Urosło nowe pokolenie, dla którego Marlena Dietrich w zasadzie nic nie znaczyła, tak jak niewiele znaczyły dla niego duchy narodowego socjalizmu”. Dodaje: „Gdybym był Niemcem, byłbym z niej dumny i byłbym dumny z jej dumy”.

Ronald Trisch: To nie był jeszcze koniec problemów Marleny z Niemcami. Podobnie było z jej książką *Marlene Dietrich. ABC meines Lebens* [Marlena Dietrich. ABC mojego życia] wydaną w 1963 roku. Niemieckie księgarnie bojkotowały jej sprzedaż.

To w niej pod literą D (jak Deutschland – Niemcy) Dietrich pisze: „Łzy, które wypłakałam nad Niemcami, wyschły”.

3 maja 1963 roku Marlena Dietrich wysłała list do swojego wydawcy: „Najdroższy Panie Blanvalet, po pierwsze, Pański telegram sprawił mi ogromną radość, ponieważ bardzo długo nie miałam żadnej wiadomości od Pana. Po drugie, znów się zezłościłam, że nasi mili naziści ciągle tam siedzą i uprzyjemniają nam życie. Bogu niech będą dzięki, że mniej niż wcześniej. Ponieważ księgarnie nie znają mojej książki, to musi być bojkot podobny do tego jak podczas mojego tournée. Myśl, że zainwestował Pan w tę książkę i że został Pan postawiony pod ścianą przez panów, którzy mają coś przeciwko mnie, i to nie dlatego,

że słabo piszę, tylko z innych znanych powodów, sprawia, że jestem smutna. Proszę, niech Pan mi mówi wszystko, nawet to, co najokrutniejsze. Jestem przyzwyczajona do bólu. Pańska Marlene”.

Wkrótce książkę wycofują ze sprzedaży, a Marlena otrzymuje „Oświadczenie zniszczenia”. Wykonawca Altpapier-Erfassung GmbH, Berlin-Ruhleben, Wiesendamm 20. Treść: „Dostarczono nam 6336 egzemplarzy książki *Marlena Dietrich. ABC mojego życia* przeznaczonych do zniszczenia. Zlecenie zostało wykonane”.

– Kochali ją i nienawidzili – mówi Ronald Trisch. – Długo zastanawiałem się, jak wytłumaczyć Marlenie, że to, że Niemcy przywitali ją w roku 1960 zgniłymi jajami, się nie powtórzy. Ona była „tą z Zachodu”, „zdrajczynią”. Dla niektórych Niemców to, co zachodnie, było wrogie. Przecież nawet matki tłumaczyły dzieciom w domach, że jeśli kiedykolwiek przyjdzie im na lekcji rysować zegar, to musi być z cyferblatem, taki jak przed ernerdowskimi wiadomościami „Aktuelle Kamera” o dziewiętnastej trzydzięści. Inny, z kreskami bez cyfr – zabroniony. Takim rozpoczął się „Tagesschau” w zachodnioniemieckiej telewizji. Każdy bał się, że ktoś na niego doniesie. „Obserwować – ewidencjonować – rejestrować”, takie były hasła. Wystarczyły banalne powody.

Leni Riefenstahl, reżyserka, mówiła: „Rozumiałam, że [Marlena] jest antynazistką, jednak moim zdaniem toczyła walkę nie z Niemcami, lecz z Hitlerem”.

W Berlinie było jednak wiele osób kochających Dietrich. Bernard Hall, przyjaciel Marleny:

– Myślę, że Marlena przyjechała do Niemiec przede wszystkim po to, żeby wyczuć, czy mogłaby spędzić koniec życia w swojej ojczyźnie. Kiedy któregoś wieczora piliśmy w hotelu,

powiedziała: „Może, kto wie...”. Być może była pijana, ale nie wierzę, by to był jedyny powód. Jednak po tym, jak napluto jej w twarz, nie brała już tej ewentualności pod uwagę. Stało się jasne, że nie będzie mogła nigdy wrócić do Domu, ponieważ Niemcy jej nie chcieli”.

Dietrich po tournée notuje: „Nigdy już nie przyjadę do Niemiec. Miałam więcej niż dość tego opluwania, demonstrantów i nienawiści. W jednym z wywiadów powiedziałam, że czuję do mnie gniew po pierwsze dlatego, że wyjechałam do Ameryki, po drugie dlatego, że nie wróciłam po wojnie do Niemiec, i po trzecie dlatego, że wróciłam na koncerty”.

O swojej ojczyźnie Marlena Dietrich wypowie się jeszcze w 1966 roku. We francuskim czasopiśmie „Le Nouveau Candide” (31 stycznia – 6 lutego 1966 roku) pod tytułem *Byłam żołnierzem* ukazuje się z nią wywiad:

– Czy Niemcy dla pani umarli? – pyta dziennikarz Paul Gianolli.

– Nie, to byłoby niemożliwe. Mam teraz obywatelstwo amerykańskie. Ale urodziłam się w Niemczech. Tego nie da się zakłamać. Nawet obumarłe drzewo zachowuje swoje korzenie.

– Nie chce ich pani wyrwać?

– Dlaczego miałabym? One tkwią w czymś, co nie ma nic wspólnego z hitlerowskimi Niemcami. Niemcy mojego dzieciństwa były inne.

– Była pani wzruszona, kiedy wróciła pani do Niemiec w 1960 roku?

– Nie, nawet przez sekundę. Rozumiem, kiedy emigrant, który opuścił swoją ojczyznę, aby szukać szczęścia w innym miejscu, po powrocie do niej jest poruszony. Ja jednak opuściłam kraj, bo się za niego wstydziłam.

– Czy pani przyjazd był prowokacją?



- Nie, to był kontrakt.
- Bała się pani?
- Nie. Byłam żołnierzem. Znam prawdziwy strach.



Zima 1945. Marlena w wojskowym transporcie